W fachowy honor chłopaka sztuknął. Tego żaden szofer by nie wytrzymał. Totyż Grochoszczak zaczerwieniał się cały i mówi:

— Żebyś pan trafił na łobuza, to by cię, pokostem karmiona budowlana łachudro, tak obciął, że byś się ze wstydu spalił. Ale ja inaczej zrobie. Zaczem się z byle kiem przekomarzać, pokaże tu wszystkiem obecnem, jak dobry szofer nawet karabanem jeździć potrafi.

Podniósł się i wyszedł.

Nie było go może ze dwadzieścia minut, w końcu przychodzi, kłania się i zaznacza, że karaban stoi przed bramą, a on całe towarzystwo zaprasza na ulicę, żeby pokazać wyższe szkołe jazdy.

Przeprosił bardzo, że to będzie kurs bez ciała, wieńców i nieotulonej w żalu rodziny, ale za to z zapalonemy latarkamy.

Kto ma życzenie, może wsiąść do środka. Połowa gości ma się rozumieć wsiadła. Jak Grochszczak dał gazu, jak poszedł ulicą, sadysfakcja była patrzyć. Zaraz na rogu świętego Wincentego latarnie przewrócił, o dwa domy dalej drzewko z korzeniamy wyrwał. Budkie gazeciarza w drebiezgi rozwalił i ani na jedne minute się nie zatrzymał.

Posuwał podobnież setkie na godzinę.

Objechał całe Nowe Bródno, Annopol i dotaszczył się do Szmulowizny, tu rowu nie przyuważył, karaban fiknął trzy kozły, drzwiczki się otworzyli i goście co do jednego w wodę.

A Grochoszczak tylko maszynę podniósł i gazu dalej.

Wrócił się na Nowe Bródno, wjechał w podwórko, rozbił śmietnik, z trzepaka tylko jedna poprzeczna deska została. a on dał dubla w okno i wjechał do mięszkania, gdzie się przyjęcie odbywało. Straż potem była wołana, bo się od lata-rek firanki zajęli, pogotowie trzy razy obracało, a sam protokół policja cztery godziny spisywała.

I pan mnie chcesz zajemponować Amerykanamy? —

Opuściłem głowę zawstydzony.

W porównaniu z panem Felusiem Grochoszczakiem „Piekielni Kierowcy" to istotnie niewinne dzieci.

Po świętach

— No i co, kochana pani Karaluch, jakżeż tam u państwa święta przeszli?

— Owszem, nie mogie narzekać, bardzo wesoło.

— Znaczy się; że to nieprawda, co mnie Wężykowa mówiła, jako że panin stary jak poszedł w wilie po południu po cynamon do klusek, to go paniusia w trzecie święto znalazła w komisariacie na Marymoncie?

— Wężykowa niech swojego moczymordy pilnuje. Szczeka cholera jak pies. Mój mąż takie ma wychowanie, że święta dla niego uroczysta pamiątka i krokiem się wtenczas z domu nie ruszy, dokąd chociaż jedna butelka do wypicia się pozostaje. Zwłaszcza że poniekąd kamasze mu schowałam i w bamboszach musiał siedzieć.

—Totyż Wężykowa zaznaczała, że właśnie w bamboszach pani prysnął na miasto i dlatego influenzy dostał i do dziś dnia w łóżku leży.

— Leżyć faktycznie leży, ale nie na kaszel, tylko względem nieporozumienia, jakie wyszło w pierwsze święto z kumem Bigosińskiem, któren zbradziażony przyszedł do nas skądsiś i zaczął rzewnemy łzamy płakać, żeśmy naszego Olesia na Tyfusa nie ochrzcili, tak jak on miał życzenie. Jak pani wiadomo, kum Bigosiński za portiera w szpitalu się zatrudnia i chciał koniecznie, żeby jego chrześniak doktorskie imię posiadał. A znowuż mój stary ani o tem słuchać nie chciał.

Już na chrzcinach kumowi Bigosińskiemu taki okład dał, że go prosto od stołu pogotowie do jego własnego szpitala zabrało.